№ 40. Warszawa, dnia 3 Października (21 Września) 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Na ganku stali panowie, rozprawiając o czemś żywo i gorąco. Ohana zbliżył się do nich, przystanął i słuchał, choć myśl niosła go zupełnie w inną stronę. Wzrokiem mimowoli szukał tej, którą mu znowu los dzisiaj powracał.

A ona usiadłszy przy matce, błądziła wzrokiem po ścielącym się w oddali stepie zrzadka zarosłym, wpatrywała się w te zieleniejące łany pszenicy, które olbrzymimi kwadratami rozdzielały czarne, nagie płaszczyzny pól.

Pan Kajetan zapaliwszy się, rozprawiał o upadku gospodarstw w Bessarabii. Był to jego ulubiony temat, doskonale wystudyowany w długiej praktyce własnej. Ze słów jego znać było, że ten człowiek tak myślał rzeczywiście, jak mówił, że słowo było u niego czynem.

— I cóż ty na to, panie Owanes? — zawołał zwracając się do Ohany, pogrążonego głęboko w myślach własnych.— Czy nie mam racyi? Tak, wszystko musi u nas zejść na psy. Ten spryt ormiański, któryśmy przywieźli z Kut, wietrzeje z głów synów naszych. Nam wystarczało ongi pięć palców i zdrowy rozsądek, im mało tysięcy i gotowej ziemi do pracy.

— Mój kochany — przerwał mu Szymonowicz, stając w obronie młodego pokolenia,—tamte nasze czasy, były inne czasy; teraz życie trudniejsze, warunki coraz to cięższe. Pomyśl, jakieśmy niegdyś podatków mało płacili w porównaniu z teraźniejszymi, o ile stosunkowo mniej kosztował robotnik. Teraz taki szelma lackun żąda od ciebie niesłychanych rzeczy, kiedy dwadzieścia lat temu za 40 kopiejek robił jak wół. A zresztą co najważniejsza, to urodzaje dawniejsze rok rocznie się powtarzające, należą już obecnie do legend, do bajek; ot idzie już czwarty rok, to mucha hesseńska, to posucha, to dyabli wiedzą co wyrywają ci z kieszeni tysiące, tysiące!

— A w dodatku — wtrącił Stefan, — cena pszenicy? Przecież pamiętam, kiedym był jeszcze dzieckiem za pud pszenicy płacono po rublu, teraz 70 kopiejek w Odesie dać nie chcą.

— Macie racyę — rzekł Domaszkan, — macie racyę. Już się Kajciu trzeba z tem pogodzić, że lepiej nie będzie, a rozumem nie zmusisz pszenicy do plonowania.

Ohana spojrzał na nich wszystkich wzrokiem, w którym świecił odcień lekkiej ironii i powiedział:

— A jednak tym rozumem ormiańskim wszystko można zrobić.

Wyrzekł to tak niespodzianie i takim tonem szczególnym, że oczy wszystkich ku niemu się bezwiednie zwróciły.

A on mówił dalej:

— Rozum ojcowie nasi przywieźli z Kut, a do nas należy ten rozum, ten geniusz pomysłowy ormiański rozwinąć i wprowadzić w ruch, w życie.

— Przepraszam pana — wtrącił podrażniony trochę Domaszkan,— cóż pan wobec takich przeklętych warunków, o jakich słusznie wspominał Szymonowicz, zrobisz? Zapewne, w handlu ten spryt ormiański, ta przebiegłość przydadzą się na coś, wreszcie pan sam dowiodłeś tego, ale w gospodarstwie...

— Właśnie, panie, w gospodarstwie tak samo cudów dokonać może — zawołał Ohana i oczy mu błysnęły ogniami. — Pszenica się nie rodzi, sadzić buraki, cykoryę albo cokolwiek innego. Wreszcie przywrócić step i wypasać na nim woły, których tysiące tysięcy szłyby za granicę. Wprowadzić ruch, życie inicyatywę w gospodarstwo! Jak nie to, to tamto, coś przecie udać się musi. Toć to ziemia obiecana, moi panowie, obiecana! Przyjrzałem się moim Nikoresztom, które nabyłem od tego marnotrawcy Sabescu, ogrom ziemi, pysznej ziemi, można z niej złoto kopać, jeżeli kto potrafi...

— No zobaczymy, jak będziesz kopał złoto!— przerwał mu Stefan z uśmiechem szyderczym na ustach.

Ohana spojrzał na niego z ukrytą pogardą i stanąwszy przed nim mówił, a słowa mu płynęły strumieniem:

— Myślisz, że na moich Nikoresztach złota kopać nie będę? Mój drogi, gdybym ci powiedział, że ja z powietrza umiem ściągać pieniądze, jak ściągałem w istocie, zażartowałbyś ze mnie z pewnością. A jednak ja naprawdę z niczego, ot, prawdziwie z powietrza gromadziłem tysiące do swojej kieszeni; więc skoro udawało mi się tamto, dlaczegóż miałoby mi się nie udać kopanie rubli na Nikoreskim czarnoziemie?

— Słusznie, słusznie mówisz, panie Owanes— rzekł stary Bohdanowicz ze szczerem uznaniem w głosie. — Ja jestem tego zdania, że ty tu do Bessarabii wprowadzisz życie nowe, poruszysz naszą ormiańszczyznę z drzemki.

— Poruszę, z pewnością poruszę! Nawet dzisiaj przyjechałem tu w tym celu. Na początek mam pewien projekt, który, gdy wejdzie w życie może nam przynieść tysiące. Korzystając też z tego, że panowie jesteście tutaj zgromadzeni, chciałbym go przedstawić do omówienia wspólnego. Ja dam inicyatywę, do was, znających lepiej odemnie miejscowe warunki, należy ocenić ją wedle rzetelnej wartości.

Wszyscy przysunęli się do mówiącego, zdziwieni i zdumieni zarazem; na ich twarzach malowała się ciekawość. Stefanowi zły uśmiech wypełzł z kątów zaciśniętych ust; on nie cierpiał tego towarzysza lat młodych, bo mu się wydawało, iż sama obecność jego sprowadza nań upokorze-

nie i poniżenie wobec zgromadzonych znajomych i krewnych.

Opanował się jednak, a stanąwszy tuż przy ojcu, który z wypogodzonem obliczem śledził każde drgnienie na twarzy Ohany, każdy ruch jego, przysłuchiwał się, jak ten mówił donośnym głosem:

— Wiecie panowie, że wychowałem się wśród was, że warunki tutejszego gospodarowania są mi znane, że nie są mi obcymi te środki, za pomocą których z biednych Ormian kupczących tu i owdzie, staliście się panami prawie na tej ziemi. Ja to wszystko znam; zapamiętałem każdą inicyatywę, każdą myśl ważniejszą, jaka kierowała naszą pracą w tym kraju, i wiem, że główną dźwignią tego ruchu ekonomicznego, który się wśród nas tak wybitnie zaznaczył, była solidarność, ta stara ormiańska solidarność, która wiązała ojców naszych.

— Tak, tak... słusznie — powtarzali jednocześnie prawie, stary Domaszkan i Bohdanowicz.

— Otóż — ciągnął dalej Ohana, — myślę sobie, dlaczegóżby nie zbudzić na nowo owej solidarności i nie skorzystać z niej we wspólnym interesie? Naprzykład, przyszła mi taka myśl do głowy: czyby się nie opłaciło urządzić w Odessie własny elewator, własny magazyn na pszenicę, któryby zabierał wszystko wyprodukowane ziarno? Mając zaś poważną ilość zboża, możnaby się podjąć bezpośredniej sprzedaży, nie używając w tym celu żadnych szwindlarzy giełdowych. Gdyby się to dało uskutecznić, zostałyby nam bez kłopotu te tysiące, które obecnie wpadają rok rocznie do kieszeni pasożytów. Potem, jeżeliby się interes rozwinął należycie, otwarlibyśmy wspólną agenturę tranzytową dalej, za granicą, w Londynie czy Marsylii, dla zapewnienia sobie zbytu po lepszych cenach.

— Wiecie, że on ma racyę — zawołał stary Bohdanowicz, — on ma świętą racyę. Jeżeliby się jego plan udał, wówczas wszyscy nasi Belccy, Otaccy, Mohilowscy żydkowie przestaliby nam za nic wyciągać ruble z kieszeni.

— Właśnie to miałem głównie na myśli.

I zaczął dalej mówić o tem, jak powinnaby egzystować podobna machina przedsiębiorcza, w jaki sposób załatwiałyby się wspólne zakupy i wspólny podział zysków. Przedstawiał rzecz jasno, wyraźnie, z widoczną znajomością stosunków handlowych i gospodarczych. Widziano, że nie były to puste słowa, jakieś pyszałkowate zachcianki, ale oczywista prawda. Posypały się też wnet pytania, uwagi, odpowiedzi na rzucony przez Ohanę projekt. Rozmowa się ożywiła, stała ogólną, interesującą; kwestyę rozpatrywano ze wszystkich stron. Pan Kajetan odrazu podjął myśl inicyatora, chwaląc ją i unosząc się nad nią.

— Tego projektu — mówił, — zakopywać nie należy. Owanes ma racyę; trzeba na seryo nad tem pomyśleć i co rychlej wprowadzić w wykonanie. Mnie się zdaje, że to najlepsza teraz pora do zawiązania takiej solidarnej spółki.

— Projekt pana Ohany nie jest dla nas ostatecznie nowością — przerwał Domaszkan, — przecież niedawno rozleciało się kilka podobnych spółek, które w rezultacie zostawiły każdemu z nas po kilka tysięcy dziesięcin na własność.

— Właśnie, tem lepiej, dlatego też i to nasze towarzystwo na podobnych zasadach zawiązane, liczyć może na wszelkie powodzenie — zakończył Ohana, a radość mu biła z twarzy; widział z min słuchaczy, iż projekt jego nie upadł. Korzystając z tego, postanowił sprawę doprowadzić do końca i zaraz dzisiaj zawiązać formalny układ. Odezwał się więc znowu:

— Moi panowie, wiecie już o co chodzi. Ponieważ zaś rozumiecie interes i uznajecie pożytek, jaki przynieść może, czyżby nie dobrze było załatwić się z nim odrazu? Jesteśmy tu zgromadzeni w dostatecznej jak na początek liczbie, by się porozumieć i sam projekt wprowadzić w wykonanie. Tembardziej, że czas jest po temu, a roboty będzie dużo; wreszcie mogą nas uprzedzić; wówczas już mielibyśmy konkurenta jakiego na karku.

— Czemu nie, owszem — zawołał Szymonowicz, — napisz pan umowę, warunki, i rzecz gotowa. Przecież nie potrzebujemy ryzykować wielkich kapitałów. Jeżeli interes pójdzie, to można będzie pomyśleć o jego rozwoju.

— Co tam umowa, ja całą mam w głowie! Złożymy na koszta administracyi, na zakup placu pod magazyny i elewator w Odessie i Otokach po pięć lub po dziesięć tysięcy, i weźmiemy interes choćby od jutra.

— Trzeba przecież wybrać zarząd — odezwał się młody Antoniewicz.

— Naturalnie, że trzeba, i to zaraz na wstępie.

— Po co długo myśleć — rzekł Bohdanowicz, zapalając papierosa, którego sam skręcił przed chwilą. — Po co debatować? Kto podał projekt interesu, ten niech zostanie jego sternikiem.

Za Bohdanowiczem poszedł Domaszkan i reszta.

Ohana w tej chwili rzucił wzrokiem na siedzącą na ławeczce obok matki Helenę, która w milczeniu przysłuchując się całej tej rozmowie, pożerała go błyszczącemi oczyma.

Zdawała się przejmować na równi z innymi całym interesem, słowa zdumienia i podziwu skierowane ku Ohanie, rozkosznym niemal echem odbijały się w jej duszy. Widziała teraz na własne oczy urok, jaki rzucał na innych ten jej umiłowany, jedyny. Dumną się czuła, jak gdyby promienie jego sławy i ją opromieniać miały. Czuła już teraz dobrze, że go znowu kocha, a kocha tak samo jak dawniej, może nawet więcej, bo uczucie więzione przez długie lata gwałtowniej i żywiej ją zaczynało opanowywać.

Ohana przejął ten błysk miłosny, zrozumiał go, i doznał uczucia błogości niesłychanej.

Zdawał się przez chwilę wahać, czy przyjąć ofiarowane mu przewodnictwo, stawiające go na czele spółki, której świetny rozwój przewidział, zaczem odezwał się:

— Dziękuję wam serdecznie, panowie, że mnie uznajecie za godnego przewodniczyć mającej się zawiązać spółce handlowej, pochlebia mi to tembardziej, iż nieznany prawie w tych okolicach, w tak krótkim czasie zdołałem sobie zaskarbić wasze względy, jednakże prezydyum żadnego przyjąć nie mogę.

— Dlaczego? — pytali jeden przez drugiego, wszyscy byli pewni, że Ohana z radością skorzysta z propozycyi uczynionej mu gromadnie. Zdziwienie było tem większe, kiedy młody człowiek już teraz spokojnie odrzekł:

— Dlaczego? — pytacie się. — Ot, choćby dlatego, że czuję się zanadto niedoświadczonym, aby przyjąć na siebie taki poważny obowiązek. Podać projekt, nie znaczy jeszcze umieć go urzeczywistnić. Tu już nie można chodzić po omacku, trzeba być pewnym, co i jak się zamierza czynić. Pomiędzy panami są ludzie zdolni — ciągnął dalej, — którzy lepiej odemnie poprowadzą interes. Ot, naprzykład pan Kajetan, jeżeliby chciał przyjąć na siebie obowiązek prezesa?

Domawiając tych słów zwrócił się do Bohdanowicza, lecz ten ruszywszy wedle swego zwyczaju ramionami odparł:

— Ja już jestem, panie, za stary na takie rzeczy. Kto ma siedmdziesiątkę na karku, ten tylko słuchać i radzić innym jest w stanie, nie zaś sam działać energicznie.

Słowa swe poparł dobrodusznym krótkim śmiechem.

Ohana zaś rzekł znowu:

— Wiedziałem, panie Kajetanie, że dla pana to już za ciężki obowiązek. Ale jeżeli nie pan to jego zięć, pan Szymonowicz, niech się podejmie roli prezesa. Zdaje mi się, że wybór nie mógłby być odpowiedniejszy.

Szymonowicz zagadnięty w ten sposób poczerwieniał trochę, przyjemnie mu się zrobiło, że ten Ohana, do którego czuł instynktowną niechęć, wyróżniał go z pośród innych i to wyróżniał w taki pochlebny sposób. Nie dostrzegł jednak odcienia ironii w nieznacznym uśmiechu na twarzy mówiącego.

— Ależ proszę was — bronił się, — jakże ja mogę... podjąć się tego. Wiecie, że nie mam czasu, że na tem się nie znam tak dalece, by was zadowolnić.

— Co tam, mój kochany — wołano, — Ohana ma racyę, ty będziesz najlepszy.

— Zresztą — zakończył Domaszkan, — weź sobie za pomocnika, za zastępcę inicyatora. Zobaczysz, już on cię pchnie dokąd wypadnie.

— Zatem rzecz załatwiona — zawołał pan Kajetan, — Oleś zostaje prezesem, a Owanes wiceprezesem.

Jeden tylko człowiek nie odezwał się ani słowa od półgodziny. Słuchał i posyłał spojrzenia pełne nienawiści Ohanie. Na twarzy drżał mu źle ukryty sarkazm, złość jakaś zjadliwa wypełzła na brzegi wązkich warg, przykrytych dużymi rudawymi wąsami. Był to Stefan. Nienawidził on tego klucznikowskiego syna, jak Ohanę jeszcze w Czerniowcach nazywał, tą samą nienawiścią, co i dawniej przed laty, w dzieciństwie. Teraz nim złość miotała, gdyż widział znowu, jak ten dawny Owanes wyrastał w oczach ludzkich na jakiegoś bohatera, pełnego uroku. Zazdrościł mu powodzenia i podziwu, jakim go otaczano.

Milczał więc, tłumiąc w sobie gniew, ale nie mógł wytrzymać, i gdy wszyscy wchodzili do ganku oszklonego, bo noc już była zupełna, wycedził przez zęby do Szymonowicza, tak jednak, że Ohana posłyszał.

— Wszystko to bardzo piękne, o czemeście rozprawiali. Słuchałem, i słuchałem uważnie. Winszuję ci zatem nowej godności, kochany szwagierku, ale wiesz, jaki mi dziwny z okazyi wyboru twego na prezesa, przyszedł wiersz łaciński do głowy?

— Co takiego? — spytał z pewnem zakłopotaniem w głosie Szymonowicz.

— Pamiętasz ten hexametr Wirgiliusza: Quid quid id est, Timeo Danaos et dona ferentes!

Ohana zbladł nagle, usta mu zadrżały, opanował się jednak i rzekł z udaną obojętnością.

— Toś ty Stefek wybornie zapamiętał; ani jednej pomyłki w hexametrze, zupełnie tak samo wyskandowane jak przed laty w Czerniowcach.

Stefan śmiejąc się zjadliwie odparł:

— Mój kochany, ty wiesz, że ja jak zapamiętam cokolwiek, to nigdy nie zapominam.

— Wiem, w tem podobnym jesteś do mnie.

Szymonowicz już nie słyszał tego, nie zrozumiał widocznie rzuconego przez Stefka zdania, bo na twarzy nie znać było najmniejszego zmięszania. Stał koło żony, i o czemś żywo z nią rozmawiał, cały rozradowany, wesoły. A ona patrzała na niego tym wzrokiem zamglonym, w którym się nie odbijają myśli tajemne, serdeczne.

Było to od lat wielu pierwsze wyraźne kłamstwo, przeświecające w głębokich jej oczach. Odtąd już duch młodej kobiety samowiednie żyć zaczynał życiem innem, znalazłszy dopełnienie swe w tym od dzieciństwa już umiłowanym człowieku. Ona nie zdawała sobie należycie sprawy ze swego uczucia, które pochłaniało całą jej istotę, wiedziała jednak, że już go z siebie nie wydrze, że trwać ono będzie chyba aż do śmierci.

Po kolacyi, do której wszyscy ochoczo zasiedli, bo byli podnieceni rozmową żywą, jaką prowadzili od dwóch godzin, postanowiono zgromadzić się w nadchodzącą niedzielę w Wysoce, ażeby ostatecznie rzecz omówić i potrzebne kapitały złożyć.

Już była północ, kiedy się goście rozjeżdżać zaczęli. Byli zadowoleni, znajdowali się bowiem pod wpływem tego uroku, jaki na nich rzucił właściciel Nikoreszt.

Jednym z ostatnich wyruszył z Wysoki duży powóz Szymonowicza. Oboje byli w błogim nastroju ducha, chociaż i on i ona co innego mieli w sercu i w głowie. On w wyobraźni widział już tysiące rubli sypiące się z kas Towarzystwa, którego był prezesem, do kieszeni stowarzyszonych, marzył o popularności, która powinna mu przypaść w udziale, jako głównemu naczelnikowi instytucyi. Chciał się też podzielić z żoną uciechą swą, rzekł więc, kiedy już wyjechali daleko po za obręb odaji.

— Wiesz, duszyczko, jaki ja jestem dziś wesół; dawno już nie czułem takiej uciechy w sobie.

I pocałował ją namiętnie w usta. A ona odsuwając go bezwiednie, jakby się bała tego uścisku, który jej przypominał rzeczywistość życiową, odszepnęła:

— Ja również czuję się dziś prawdziwie szczęśliwą.

Gdy to mówiła, w rozbudzonej fantazyi jej kołysała się męzka, pociągająca postać Owanesa i kołysała się i tuliła ją do siebie, przejmując jej serce i duszę całkowicie... Rozkoszne widmo młodego człowieka owładnęło nią zupełnie. Czuła się w jego uściskach.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kongres międzynarodowy berliński

w obronie

praw i dążeń kobiety.

Trudno będzie chyba ludziom tej epoki obronić się przeciw, dzisiaj już wielokrotnie stawianemu, zarzutowi, który oskarża koniec naszego stulecia o nadużywanie wogóle wystaw, zjazdów i kongresów.

Jeżeli sprawiedliwość nakazuje nam stanowczo uwolnić z pod takiego zarzutu przedstawicieli nauki lekarskiej, którym bezwarunkowo nie godzi się przetrzymywać światła pod korcem — jeżeli to samo wyłączenie przyznać będziemy musieli wiedzy przyrodniczej, która ma wszelkie prawo dzielić się swoim olbrzymim, nieledwie każdorocznym dorobkiem — jeżeli wreszcie w imię pożytku materyalnego rozgrzeszyć nam wypadnie przemysł stosujący zdobycze tej wiedzy z tego, że sobie na tak ciągłe pozwala produkcye i popisy, nie idzie zatem jeszcze, żebyśmy racyą bytu wszelkim innym tak często powtarzającym się zjazdom i wiecom przyznawać mieli.

Jakoż zgodzi się każdy, kto słuchać i patrzeć potrafi, że stygnie powoli ale niezmiennie, zainteresowanie jakie budziły w początku kongresy socyologów, teoretyków-jurystów, a nadewszystko przykrzeć się zaczynają sejmy bojowników i bojowniczek postępu, reformatorów społecznych płci obojga, i całego wogóle hałaśliwego zastępu ciągnącego za sobą gadulstwo bez mandatu, i różnego rodzaju patronaty nieproszone, dzięki którym sama nawet prawda najżywotniejsza traci na powadze, a w następstwie i na popularności także.

I nieraz jeden, odczytując sprawozdania z obrad w kwestyach zupełnie zkąd inąd sympatycznych, chciałoby się zawołać:

„Jakby to było dobrze, gdyby tak mniej cokolwiek rozprawiać w tej materyi.

I nieraz jeden ciśnie się na usta to francuzkie: Mesdames! Messieurs! Pas trop de zèle s. v. p! Niestety!...

Między innemi dają się słyszeć podobne życzenia i wykrzykniki i pod adresem kongresów w sprawie kobiecej zwoływanych, i to przyznać należy, nietylko ze strony ludzi, którzy tę kwestyą zgryźliwie i z niechęcią traktują, ale nawet mówią to szczerzy zwolennicy rozszerzenia przed kobietą zakresu wiedzy, praw obywatelskich i jej uniwersyteckiego wykształcenia. Dotyczy to rozumie się kongresów międzynarodowych, bo o ile organizowanie się wewnętrzne kobiet każdej poszczególnej społeczności uważa świat za zgodne zupełnie z duchem czasu, o ile jako środek do tego celu prowadzący uznaje on wszelkie zrzeszania się i obrady, o tyle ten międzynarodowy charakter zgromadzeń kobiecych, w odmiennem zupełnie świetle przedstawia nam sprawę całą.

Praca wewnętrzna oparta na zrozumieniu należytem potrzeb swojej społeczności, a międzynarodowy turniej deklamacyjny, to są rzeczy zupełnie odmienne, a nawet gotowibyśmy powiedzieć, że pojmowanie tej pracy u siebie — na swoim gruncie, nieledwie że wyklucza potrzebę tamtych wszechświatowych wynurzeń i popisów.

Jeżeli wreszcie przyznajemy i tym ostatnim jakieś prawo bytu, zgódźmy się na to chociażby, aby one były rzadsze przynajmniej.

Była np. kobieta niemiecka w Paryżu, i tam wyspowiadała się przed światem niewieścim z tego wszystkiego, czego pragnie i do czego dąży — z tego co ma i czego jej nie dostaje.

Dowiedziała się tam na miejscu o ideałach społecznych kobiety francuzkiej, angielskiej, włoskiej, skandynawskiej i t. d., i t. d. Czegóż tę niemkę nauczyć dziś może kobieta francuzka, angielska, duńska i wszelka inna, gdy do niej przybędzie w cztery miesiące po tamtej wymianie myśli i zapatrywań?

To już nie żadna międzynarodowa praca, ale to mocno podobne do jakiegoś międzynarodowego próżniaczego zabijania czasu, od którego strzeż Panie wszystkie Niemki i Francuzki, Indyanki i Hottentotki — wszystkie, które znamy i których nie widzieliśmy nigdy — wszystkie nam miłe a nawet nienawistne kobiety naszego globu.

Darują nam czytelniczki te uwagi, których optymistycznemi nazwać nie można, ale którym pewnej słuszności odmówić chyba trudno. Cobyśmy powiedzieli naprzykład o rolniku zajętym ciągłem wystawianiem swojej produkcyi?

To jedno moglibyśmy mu wróżyć tylko, że jeśli nie pozbędzie się tej metody rozsławiania owoców swojej pracy, w krótkim czasie ucierpieć na tem będzie musiała praca sama, i że o wystawianiu niedługo nie będzie mogło być mowy. Wątpliwości nie podlega, że od czasu kongresu feministek w Paryżu, sprawa kobieca w Niemczech nie miała czasu ani wstecz się cofnąć, ani o włos jeden posunąć naprzód. Że zaś życzymy jej z całego serca tego „naprzód" w granicach możebności rozumie się, więc z natury rzeczy pragnęlibyśmy dla niej więcej czynów a mniej frazesów. Ah te frazesy!

A teraz pomówmy o kongresie samym.

Wogóle tłumnie się stawił w Berlinie europejski a nawet i zaoceanowy świat niewieści. Wszystkie niemal narody przysłały tutaj przedstawicielki swoje, a co się tyczy Francuzek, to przybyły one do nadsprejskiej stolicy w assystencyi męzkich promotorów kobiecego równouprawnienia, których we Francyi przybywać ma ciągle, wedle tego co głoszą dzienniki. Jaką tam rolę odgrywają ci abnegaci, trudno wiedzieć, ale że istnieją, wedle sprawozdań przynajmniej — wątpliwości nie podlega.

Angielek, które uczestniczyły w kongresie Paryzkim, i innych nieznanych dotąd czytelniczkom naszym z nazwiska, które przyszły tutaj zaprezentować swoją pracę pedagogiczną, wymieniają gazety liczbę pokaźną. Półwysep Iberyjski złożył milczące wyznanie że z dążeniami emancypacyjnemi niewspółczuje tak daleçe; Włochy przeciwnie, delegowały spory zastęp obdarzonych stopniami naukowymi kobiet, których nazwiska nieraz już obiły się o uszy czytającego świata niewieściego. Co do nas, a raczej co do kobiet naszych, nie tak bardzo licznie są one reprezentowane, a jakkolwiek tu i owdzie o powabnej powierzchowności kobiety z nad Wisły znajduje się wzmianka przychylna, to przecież typowe organy Prusacze z pewnym sobie właściwym przekąsem wspominają o nich jednych tylko, z pomiędzy całego ogółu kobiet; dziwią się niezmiernie charakterowi w jakim tu przybyły—ot zwyczajnie jak na takie wytresowane i sforne piśmiennictwo peryodyczne przystało. O pani Moszczeńskiej, która przybyła z Księstwa Poznańskiego nie mówią nic, toż samo co do pani Reinschmidt-Kuczalskiej, natomiast zdołali poprawnie napisać nazwisko pani Daszyńskiej, która istotnie znajduje się na kongresie i pani Bujwid, której tam nie ma wcale, albowiem wskutek choroby męża, Krakowa opuścić nie mogła. Niech ich tam wreszcie... i dziennikarzy Berlińskich! Wszak wiadomo, że to wszystko wymustrowane w szkole, wypuszczającej egzemplarze skończone w swoim rodzaju takie, o których się mówi w Niemczech, że są: „Auf den Mann dressirt".

Jeśli nie wiecie czytelniczki co znaczy takie określenie, postaramy się objaśnić wam w krótkich słowach: Jest taki gatunek kundysów, które specyalnymi sposobami przyuczają do natychmiastowego rzucenia się na człowieka, zanim ten oprzytomnieć zdoła i przygotować się do obrony. Podczas, gdy poczciwy zwyczajny Burek podwórzowy rekognoskuje, obejrzy, obwącha wprzód człowieka, aby się przekonać, czy przyjaciela czy wroga ma przed sobą, tamten tresowany w wyższej szkole, rzuca się skoro nim poszczują, bez namysłu. Zaprawione tedy raz na łatwej strawie dziennikarstwo Berlińskie, siłą nałogu samego pieni się przy każdej sposobności ze starą zaciekłością, chociaż wielki mistrz tressury pole działania opuścił i odgrywa już tylko mizernie swoją rolę Pomorskiego Cyncynata na Warcinie.

Wypada nam wreszcie zamieścić panią D-ra Krajewską, którą wymieniamy na końcu z uwagi, że przybywa z Bośni i z tamtejszych stosunków będzie zdawała sprawę.

Najwięcej rozumie się—Niemek. Charakterystycznem jest bardzo zachowanie się nietylko władz, ale i municypalności nawet, odnośnie do kongresu. Nikt z ramienia tych magistratur nieuczestniczył, nie witał kobiet swoich i cudzoziemek, co zresztą jest dosyć w porządku rzeczy jak na Berlin przynajmniej. Desiderata kobiece w parlamencie na ostatniej sessyi odrzucono, więc z ruchem niewieścim obchodzą się tu potrochu, jak z rokoszem każdym. Prawo o stowarzyszeniach i zgromadzeniach upoważnia niby kongres, ale nie idzie zatem, żeby cokolwiekbądź z tej sfery, która *Behörde* pruską obejmuje, mogło się odnośnie do tego nieuznanego oficyalnie przedstawicielstwa rozkrochmalić i wyjść ze swojej regulaminowej rezerwy.

Bo też doprawdy ta ponura, o żałobnych barwach Borussia, to właściwie nie żadne Niemcy, przynajmniej nie te sympatyczne Niemcy z nad Nekary i Mozeli, które się w pamięci tylu ludzi naszych tak serdecznie zapisały.

Ten Berlin z jednej strony posiada własność przypominania starego Fryca—jego ducha koszarowego, który jak się pokazuje stanowi tło i podścielisko wszystkiego—z drugiej przeistoczył on się do niepoznania, a wyborna niegdyś charakterystyka Heinego, już do niego dzisiaj nie pasuje wcale.

Pisał niegdyś poeta do swojej Fryderyki.

„Verlasse Berlin mit seinem dünem Sande,
Und dünem Thee und überwitzigen Leuten
Die Gott und Welt und was sie selbst bedeüten,
Begreifen längst mit Hegel'schem Verstande."

. . . .

Jużto „überwitzig" nie są oni wcale dzisiaj... oh nie! a i z Heglowskim rozumem dawno wzięli rozbrat, zamieniwszy go na inny—o wiele użyteczniejszy.

Bóg z nimi nareszcie! Niechaj sobie żyją i niechaj się kochają wzajemnie, czego im życzymy szczerze, choćby dlatego, że ich w tem nikt obcy zastąpić nie potrafi.

O kongresie tedy w przyszłem sprawozdaniu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Klemens Junosza.

CURICULUM VITAE.

(KARTKA Z PAMIĘTNIKA).

(Dokończenie.)

Poczęstował mnie cygarem i tak zaczął.

— Nie będę ci, kochany młodzieńcze, opiewał szeroko, jakie jest położenie ojca, mającego córkę, jakie są jego obowiązki, tyle ci tylko powiem, że musi on posiadać wzrok orła, czujność żórawia, słuch zająca i przezorność węża. Czy tak?

— Skoro pan sędzia mówi, to zapewne...

— Tak, tak, młodzieńcze, ja te przymioty posiadam, nawet w dość wysokim stopniu i dlatego właśnie zadaję ci pytanie: jaki jest cel łaskawych a tak częstych twoich odwiedzin?

Zaskoczył mnie tem pytaniem. Czułem, że się rumienię i że nie wiem jak odpowiedzieć, zacząłem układać w myśli wyrazy, lecz sędzia przyszedł mi z pomocą:

— Nie żenuj się i bądź szczery. Nie ma w tem nic nagannego, gdy młody człowiek pragnie mieć towarzyszkę życia. Owszem, jest to myśl zawsze godna pochwały.

— Wistocie, panie sędzio — odrzekłem,—marzę o tem.

— Bardzo pięknie. I Marcelina, córka moja podobała ci się?

— Nadzwyczajnie.

— Byłbyś zdolny pokochać ją?

— Do szaleństwa, panie! — zawołałem.

— Wierzę ci, gdyż i ja niegdyś, w twoim wieku, ale to do rzeczy nie należy. Mówmy szczerze. Z mojej strony przeciw twoim intencyom nie mam nic do nadmienienia, w zasadzie gotów jestem je zaakceptować.

— O panie! moja wdzięczność.

— Zaraz, zaraz, młodzieńcze; bądź cierpliwy. Więc, jak ci powiedziałem; w zasadzie dobrze, ale ja jestem człowiek starej daty, formalista, lubię wszystko robić porządnie i naturalnie, od człowieka, który pragnie zostać członkiem mej rodziny, muszę wymagać pewnych legitymacyj, żebym wiedział przecie, z kim ma do czynienia. Sam przyznasz, że to jest niezbędne. Pragnę, aby legitymacya o której mowa, poparta była dowodami.

— Nie rozumiem, co pan sędzia chce przez to powiedzieć, bo jeżeli idzie o metrykę...

— Naturalnie, że idzie. Samo prawo tego wymaga, że w razie gdyby małżeństwo miało przyjść do skutku, to będziesz musiał złożyć ją urzędnikowi stanu cywilnego.

— Więc jakież dowody będą potrzebne?

— Przydałby się wykaz hypoteczny twojego majątku; na to jednak nacisku nie kładę, gdyż raz nie chcę przyczyniać ci kosztów, powtóre ufam twoim słowom, a po trzecie, onegdaj będąc za interesem w sądzie, wypadkowo widziałem księgę twego majątku. Tak się jakoś złożyło, bo nie przypuszczasz chyba, żebym z umysłu chodził sprawdzać, jak tam jest. Byłoby to przedwcześnie.

— Dlaczegóż...

— Przedwcześnie, kochanie, przedwcześnie, powtarzam ci. Gdybyś był szedł tą drogą, którą ja szedłem przez życie, zażądałbym tylko twego stanu służby, że jednak jesteś liber baron i panicz, i że takiego dowodu złożyć nie możesz, przeto chcę, żądam i za główny warunek stawiam, abyś własnoręcznie napisał mi swoje „curiculum vitae," szczerze, sumiennie, obszernie i szczegółowo; ja prawdziwość faktów jakie podasz, zbadam i potem pomówimy. Im prędzej to uczynisz tem lepiej, a że zakochanym zawsze pilno, przeto pewien jestem, że gdy przyjdziesz znowu nas kiedy odwiedzić, będziesz miał ze sobą operat gotowy i przepisany czytelnie, tak jak ja lubię i jak powinno być.

— Ależ panie sędzio...

— Slucham.

— Ja takich opisów nigdy nie robiłem i nie wiem jak do tego przystąpić.

— Głupstwo jest, nie święci garnki lepią, trzeba tylko fałdów przysiedzieć. Ja wiem, że wy wieśniacy, nie macie tego co Niemcy nazywają sitzsfleischem, a co jest tak cennym przymiotem u ludzi pracujących umysłowo, ale raz w życiu możesz się i na to zdobyć, zwłaszcza w tak ważnych okolicznościach. No, jakże więc?

— Spróbuję—odrzekłem z westchnieniem.

— Doskonale, a ja jeszcze muszę cię, kochany panie poinformować pod pewnym względem. Przypuszczam, że intencye twoje względem Marcelinki są bezinteresowne, i że nie opierają się na materyalnem wyrachowaniu.

— O, panie dobrodzieju, takie myśli dalekie były odemnie. Groszem ja nie pogardzam, ale...

— Wierzę ci, bo właściwie jakiegoż posagu mógłbyś się spodziewać po córce emeryta.

— Nawet nie myślałem o tem.

— Otóż, powiedzieć ci muszę, młodzieńcze, że pozory niekiedy mylą, córka emeryta ma po matce swej pięć tysięcy, na doskonałej hypotece, zaś po mojej śmierci otrzyma jeszcze trzy, które ja sam złożyłem z drobiazgowych oszczędności. Razem tedy ośm. Gdyby małżeństwo przyszło do skutku, musiałaby być intercyza, a posag zostałby zahypotekowany na twoim majątku, na pierwszym numerze.

Ucieszyłem się z tej wiadomości, gdyż ośm tysięcy piechotą nie chodzi, możnaby nadać tym pieniędzom jakiś obrót, albo też zaokrąglić majątek, tylko to curiculum nieszczęśliwe, to curiculum.

Jak ja się wezmę do tej roboty? Jak opiszę przebieg mego życia, a główna rzecz co mam opisywać. Młodość jak młodość, czasy szkolne, co w nich osobliwego, a potem przy gospodarstwie jeden dzień do drugiego podobny bliźniaczo, wszystkie jednakowe; tyle tylko urozmaicenia, że po wiośnie lato, po lecie jesień, po jesieni zima i znów po zimie wiosna. Bez opisywania każdy wie, że tak jest i tak było od początku świata.

Powróciwszy do domu, opowiadam matce rozmowę z sędzią i wszystkie jej szczegóły.

Ucieszyła się staruszka niezmiernie, że nareszcie zbliżam się do upragnionego celu, ucieszyła się poczciwa, bo to i panna z porządnego domu i córka sędziego i nad spodziewanie wszelkie posażna. Czy gospodarna? Nie wiadomo, ale przy takim mężu jak ja, nauczy się wszystkich sekretów i sposobów. Matka także rady jej nie odmówi. I będzie dobrze, będzie szczęście, pomyślność, dostatek. Tylko z tem pisaniem nieszczęsnem.

Matka powiada:

— Nie bój się Jasiu, śmiało, poszlij po papier, zamknij się w pokoju, na trzy dni, choćby na tydzień nawet, nie zajmuj się niczem innem, tylko pisz. Moja w tem głowa, żeby ci nie przeszkadzano, bądź spokojny. Żywy duch do ciebie nie zajrzy. Ja jestem trochę zdrowsza i raźniejsza teraz; dobra wiadomość dodała mi sił, więc zajmę się gospodarstwem, podczas, gdy ty się oddasz pisaniu.

Tak się też stało.

Ciężkie to były chwile dla mnie, bardzo ciężkie i przekonałem się dopiero, jak trochę sztuką jest pisanie, a zwłaszcza początek. Po całym dniu siedzenia i rozmyślań, napisałem tylko tyle:

„Nazywam się Jan Nepomucen Smutnicki, urodziłem się we wsi Wesółka, gminie Samotrzaski, dnia 14 Lutego 1857 roku."

Dalej ani weź. Poszedłem spać w przekonaniu, że noc dobrą radę przyniesie, i obudziwszy się o czwartej rano, znowu gorliwie wziąłem się do pracy. Do południa nie przybyło mi nic, do wieczora nic, cały dzień był zmarnowany. Ogarniała mnie rozpacz, bo doprawdy, za co ten sędzia skazał mnie na takie ciężkie roboty. Czy za to, że śmiałem podnieść oczy na jego córkę ależ sam mnie do tego zachęcał.

Trzeciego dnia przyszła mi świetna myśl, napisałem tak:

„Ojciec mój nieboszczyk, był tem czem ja jestem obecnie, a ja jestem obecnie tem, czem był niegdyś mój ojciec, zaś dziadek mój zajmował takież samo stanowisko."

Napisawszy to, pobiegłem do matki.

— Czy dobrze będzie? — zapytałem.

Pokręciła głową.

— Albo ja wiem — odrzekła, — podług mego zdania, bardzo dobrze, bo co tu więcej pisać, ale sędziemu może się wyda inaczej. W każdym razie, to jest opis za krótki i nie imponuje, a jemu wartoby zaimponować.

— Czem?

— Choćby pracowitością, zabiegliwością, majątkiem.

— Co to za majątek!

— Ale dochody daje, i stosunkowo lepsze niż wiele innych. Przejrzyj tylko książki percepcyi, a przekonasz się, że z roku na rok dochód się zwiększa.

Rzeczywiście tak było. Z przyjemnością rozczytywałem się w tych książkach, własnoręcznie przez poczciwą matkę moją zapisanych.

Rzeczywiście to był obraz, obraz skrzętności naszej.

Przyszła mi genialna myśl do głowy, i napisałem w dalszym ciągu tak:

„Co zrobiłem na tym świecie i jakie są moje zasługi, niech wykażą wierzytelne kopie z książek percepty mojego folwarczku za ostatnie lat dziesięć, które to kopie przy niniejszem załączam."

Data i podpis własnoręczny.

Zabrałem się do przepisywania energicznie, ciężka to była praca, ale ożywiała mnie nadzieja, że cel zamierzony osiągnę. Pot zalewał mi oczy, krzyż bolał nieznośnie, palce drętwiały, ale po dwóch tygodniach pracy, miałem porządnie wystychowane kopie rachunków, na co spożytkowałem sześć liber papieru, nie licząc mnóstwa arkuszy, które popsułem przy robocie.

Rozpromieniony, szczęśliwy pojechałem do miasta i stawiłem się u sędziego.

— Cóż to za straszny fascykuł?! — zawołał, gdym mu podawał papiery.

— To moje curiculum, panie sędzio.

Włożył okulary na nos, przeglądał, kiwał głową i wzdychał.

Myślę sobie dlaczego? Czy wydaje mu się za małym ten dochód, jaki z mająteczku osiągam. Niechno spróbuje wydobyć więcej z tego piasku!

Przerzuciwszy papiery, sędzia podał mi rękę i rzekł:

— Młodzieńcze, obmówiono cię... ty masz rozum.

— O panie sędzio!

— Jak żyję, nie widziałem porządniejszego opisu życia.

— O nieba! więc mogę mieć nadzieję?

— Niestety, nie.

— Przecież sam pan sędzia powiedział, że mam rozum.

— Tak jest, ale moja córka go nie ma, czego mocno żałuję. Mówiłem już z nią, nie lubi gospodarstwa, nie chce wyjść za pana i podobno dała już słowo innemu. Ja bo cię zawsze szanować będę, a to curiculum zostaw mi na pamiątkę.

Cóż miałem robić, zostawiłem. Sędzia pokazywał je wszystkim, chwalił mnie, a ludzie tłómaczyli to sobie opacznie i wszystko obracali w śmieszność.

Nie ożeniłem się dotąd. Tak... każdy człowiek ma do czegoś szczęście, ja mam specyalne szczęście do nieszczęścia.

Wacław Wolski.

JESIEŃ.

Rozpłakały się niebiosa,
I rzęsiste łzy
Roni jesień złotowłosa,
Na jagodach bujna rosa,
Brylantowo lśni...

Siedzi jesień zapłakana
Śród szumiących drzew,
W tęskny wicher zasłuchana ..
Szumią drzewa: dana, dana..
Płynie żalu śpiew...

Niebo ciężkie i pochmurne,
Wielki objął żal...
Łzy spływają w ziemi urnę ..
Niebo ciężkie i pochmurne
Kryje dżdżystą dal...

Wypełniła przestwór cały
Mgła, deszczowa mgła ..
W głos się chmury rozpłakały,
Ścichający i omdlały
Wicher rzewnie łka..

Groźby i alarmy.

Angielski ekonomista z początku bieżącego stulecia, Tomasz Malthus jest niewątpliwie jednym z apostołów, za których zaleceniami idą ci nawet, którzy się zarówno i teoryi i jej twórcy samego najostentacyjniej wypierają.

Jak czytelniczkom wiadomo, widmem, które niepokoiło Malthusa, i którem on ze swej strony skutecznie niepokoił rządy i społeczności, było widmo przeludnienia. Dzięki prawu, które on miał wykryć, i jako niepomylne upowszechniał, ludność każdego kraju w warunkach normalnych wzrasta w stosunku geometrycznym, podczas gdy produkcya płodów ziemi powiększa się z latami w stosunku arytmetycznym tylko.

Na tej wielkiej też dysproporcyi, jaka według Malthusa zachodzić ma między przyrostem ludzkiego mrowiska, a możnością jego przeżywienia, ufundował on swoją antychrześciańską i antyspołeczną doktrynę, która jednakże miała w swoim czasie dużo kredytu, bo uzbroił ją Malthus w cyfry, a te zawsze, bez względu na to, czy są więcej lub mniej wiarogodne, działają na wyobraźnią; wreszcie odpowiadała doktryna ze wszech miar egoistycznym widokom klass używających.

Otóż opowiada Malthus, że gdy ludności przybywa w stosunku 2, 4, 8, 16, 32, a środki pożywienia zwiększają się tylko w stosunku 2, 4, 6, 8, 10, dochodzi się do rezultatu takiego jak nam przytoczony poniżej przykład objaśnia:

Przyjąwszy za podstawę, iż w warunkach normalnych ludność podwaja się w ciągu 25 lat, wypadnie: że jakaś ludność dwumilionowa produkująca rocznie dwa miliardy kilogramów artykułów żywności, po upływie wieku liczyć będzie 32 miliony, ale waga wszelkiego rodzaju pożywienia, które ona zdoła wyprodukować, wyniesie tylko 10 miliardów kilogramów. Innemi słowy: ludność pomnoży się 16 razy, a środki jej wyżywienia tylko 5 razy.

Gdyby to prawdą być miało, z tego jednego przykładu przekonaćbyśmy się mogli, jak rychło gromadom ludzkim naszego globu groziłaby śmierć głodowa.

Jeszcze złowróżbniejszemi są cyfry, do których dochodzi inny ekonomista, Marschall. Ten znowu daje takie obliczenie:

Przypuśćmy, powiada, że ludność podwaja się nie przez 25 ale przez 50 lat; przypuśćmy, że na świecie jest w danym momencie tylko 1 mężczyzna i 1 kobieta, i spróbujmy na powyższej podstawie wyrachować, do jakiej cyfry dojść może ten zarodek zaludnienia po upływie trzech tysięcy lat.

Istotnie cyfra jaka tutaj wypadnie, daje się napisać w jednym długim bardzo wierszu, ale wyobraźnią objąć jej nie można.

Pojęcie o mnóstwie takiem dać zaledwie może tego rodzaju stan rzeczy: Po 3,000 lat, ta ludność niezmierna nietylko potrzebowałaby całej powierzchni, jaką na globie naszym przedstawiają lądy i morza, aby stanął człowiek jeden koło drugiego jak najszczelniej, ale nadto musiałyby jej warstwy być równie szczelnie ustawione jedne na głowach drugich, ku górze w kilkudziesięciu kondygnacyach.

Wnioski tego drugiego są oczywiście takie same jak Malthusa. I Marschall doradza, aby w związki małżeńskie wchodzili jedynie ludzie dostatecznie zbrojni w środki materyalne do wytrzymania walki o byt.

W rażącej sprzeczności z tymi dwoma alarmistami stoi inny współczesny nam ekonomista angielski, Clarcke. Był on profesorem uniwersytetu Oxfordzkiego; przed niedawnym czasem zmienił wiarę, a nawet został członkiem zgromadzenia Jezuitów. Clarcke dochodzi do zapatrywań wprost przeciwnych, mniema mianowicie, że nie jest dosyć zmniejszyć liczbę ust, aby ci, którzy pozostaną, mieli już przez to samo posiąść dostatek chleba. W pracy swojej, którą świeżo odrukował ten ekonomista w North American-Review, rozbiera on stan materyalnej i moralnej pomyślności różnych narodów europejskich, stopień nagromadzenia ludności, i inne względy z których stara się wyprowadzić prawa rządzące dobrobytem — doprowadzające społeczności do stanu rozkwitu, albo popychające je do stopniowego zwyrodnienia i zaniku.

Według Clarckego, kraje najgęściej zaludnione dają jednostce największą możność znalezienia dla siebie zarobku. W Londynie każdy człowiek, zarówno mężczyzna jak kobieta, byle nie był zupełnie nieudolnym i byle nie zbyt często przechodził od jednej professyi do drugiej, co by mu przeszkadzało wydoskonalić się względnie w którejkolwiek — w Londynie każdy taki, który chce i umie pracować, bez chleba nigdy długo nie pozostaje. Okolice przemysłowe północnej Anglii i Szkocyi, pomimo, że mają ludność gęstą, cierpią na brak rąk do roboty. Rodzina złożona z kilku osób zdolnych do pracy, nietylko używać tam może zupełnego dobrobytu, ale miałoby wszelką możność robienia oszczędności, gdyby nie alkoholizm, który niestety niezmiernie jest w tamtych prowincyach rozpowszechniony. Te same warunki pomyślności materyalnej przedstawiają wedle Clarckego: Manchester, Dundee i Glasgow, a jeżeli w tych miastach znajdujemy żebractwo, choroby i nieczystość, to jedno tylko jedyne pijaństwo ludności obwiniać można o ten smutny stan rzeczy.

Stanowczo utrzymuje Clarcke, że zwiększenie ludności nie prowadzi za sobą nędzy — przeciwnie, ten przyrost jest rękojmią pomyślności i źródłem bogactwa narodowego. Porównajmy, powiada on, ze sobą Belgią, która ma 207 głów na przestrzeni 1 kilometra kwadratowego — Anglią, która liczy na tej samej przestrzeni 187 — Niemcy mające 87 — i Francyą, której ludność nie przenosi na kilometrze 72 głów. Gdyby inaczej miały się rzeczy, Belgia z jej ludnością zbitą, byłaby krajem w tej grupie najuboższym, a tymczasem widzimy że jest wprost przeciwnie.

Gdyby zmniejszanie się ludności pociągało za sobą dobrobyt, to Irlandya, która w ciągu ostatnich 50 lat utraciła połowę swojego zaludnienia, powinnaby przez to samo zapewnić pomyślność pozostałym.

Co prawda, uwzględnia się, że Irlandya zajmuje w rodzinie ludów europejskich jedno ze stanowisk zupełnie wyjątkowych, ale w każdym razie ten ubytek ludności tak szybki, powinienby przynajmniej zmniejszać nędzę, a jednak widzimy że nędza wzrasta.

Jeżeli znajdujemy objawy wprost przeciwne, należy zrozumieć ich przyczyny. Włochy naprzykład przedstawiają w naszych czasach zjawisko zkąd inąd także zupełnie wyjątkowe. Ludność wzrasta, ale i nędza wzrasta tam z każdym rokiem. W dodatku nie wolno nam jak w Anglii lub Szkocyi odnosić tego ujemnego stanu rzeczy do nadużyć alkoholizmu, bo jak wiadomo ludność włoska jest bezwarunkowo najwstrzemięźliwszą pod tym względem. Jeżeli jednak zajrzymy na dno urządzeń państwowych, jeśli obliczymy produkcyą miejscową, i stosunek jej do podatków i ciężarów uciskających jednostkę pracującą, odrazu zrozumiemy i nędzę tego kraju i konieczność corocznego kontyngensu emigracyi, jaki różnym częściom świata dostarczają Włochy w ostatnich czasach.

Stanowczo bardzo zwalcza Clarcke alarmy Malthusa i Marschalla. Gdyby ludność podwajała się stale co 25 lat, to wedle wyrachowań profesora Richarda Elly z Baltimore, Stany Zjednoczone za 2 i pół wieku liczyłyby 60 miliardów, a zatem 1 i pół razy tyle, ile liczy obecnie cały glob ziemski, a tymczasem nie zanosi się na to. W Stanach Zjednoczonych rody pierwszych osadników w naszych oczach wygasają doszczętnie. Zastępują te ubytki nowe immigracye co prawda, ale że tamci nikną, to fakt niezbity.

Gdyby tym wielkim ruchem ludów rządziło stale i niezmiennie to jedno tylko prawo 25 cioletniego zdwajania się ludności, gdyby nie było innych praw, których nie zdołano dotąd wyśledzić, to i Francya obliczałaby dzisiaj przyszłość swojego przeludnienia, a tymczasem zaalarmowani jej ekonomiści rachują ciągle, za wiele też lat wedle tego, co widzimy dzisiaj, ludność francuzka zniknie z oblicza ziemi.

S.

U inżyniera Andrée.

Donosiliśmy w swoim czasie czytelniczkom o zamierzonej do bieguna Północnego wyprawie trzech szwedzkich uczonych. Awanturnicze to przedsięwzięcie różniło się od wszystkich poprzednich usiłowań, dlatego opinia świata całego baczną na niego zwracała uwagę; zaciekawienie było niesłychane, a myśl sama i jej wykonanie tak zuchwałemi się wydały, że ogólnie przewidywano tylko jako alternatywę: śmierć inżyniera Andreé'go i jego towarzyszów, albo ich tryumf zupełny.

Tymczasem, jak to bardzo często przytrafia się na świecie, nastąpiła ewentualność trzecia— nieprzewidywana zupełnie. Podróżni do bieguna nie dotarli, nie zaskoczyła ich także śmierć, którą wróżono, natomiast przybywszy już na punkt, gdzie balon miał być napełniony gazem, uznali oni wyprawę przy danych warunkach jako niemożliwą, i postanowili ją odroczyć do roku następnego.

Norwegczycy, którzy znieść nie mogą myśli samej jakiegokolwiek powodzenia Szwedów, i którzy powrót swego Nansena z krain podbiegunowych uważają za tryumf prawdziwy, nie omieszkali przedsięwzięcia Andreégo wystawić w świetle ujemnem — ogłosić je światu jako pomysł chybiony i skazany na zaniechanie. Tymczasem, jak twierdzą bezstronni, nie można ekspedycyi Nansena uznać jako uwieńczonej powodzeniem, ani odroczonej wyprawy szwedzkich uczonych uważać za przedsięwzięcie chybione. Korespondent niemiecki, któremu chodziło zdaje się tutaj o prawdę jedynie, tak się o tem wyraża po zbadaniu stanu rzeczy na miejscu.

„Rozmawiałem w Chrystyanii z wielu ludźmi o wyprawie Andréego. Jedną z najnieprzychylniejszych opinij dotyczących tego przedsięwzięcia, usłyszałem od znanego autora Björnstierna-Björnson. Powiada on, że nas tylko papierowa ściana dzieli dzisiaj od nadania balonowi kierunku dowolnego, i że w chwili takiej przedsiębrać podróż do bieguna na przyrządzie nieudoskonalonym, znaczyło to być niecierpliwym i nie umieć czekać. Ale oni wszyscy tacy ci Szwedzi, takie ich dzieła i taka polityka cała, dodaje uszczypliwie głośny pisarz norweski."

Ciekawym był bardzo korespondent niemiecki, co o podróży balonowej do bieguna trzyma Nansen, ale że mu nie wypadało poruszać tego w rozmowie z nim samym, zapytał o to jego sekretarza doktora Christophersena. Wedle słów tego ostatniego, Nansen miał się w ten sposób wyrazić o napowietrznej podróży Andrée'go:

„Jest bardzo prawdopodobnem, że na takim przyrządzie, który łączy w sobie do pewnego stopnia przymioty balonu i statku, uda się Andréemu przelecieć po nad biegunem północnym. Może to nawet mieć miejsce przy wietrze niezupełnie przyjaznym, gdyż bądź-co-bądź balon ten może się zwrócić o 20 stopni przeciwko wichrowi. Ale co do korzyści tego śmiałego przedsięwzięcia, to rzecz zupełnie inna. Przedewszystkiem, aby przelecieć po nad niezbadaną dotąd krainą podbiegunową, wynoszącą 3 stopnie szerokości geograficznej, wystarczy Andréemu prawdopodobnie 9 g. czasu. To może być dostatecznem zaledwie na obserwacye meteorologiczne, ale co się tyczy zbadania czy ta przestrzeń stanowi ląd stały, czy ją zapełniają napływowe lodowiska, o tem przecież mowy być nie może, tak samo, jak o zbadaniu głębin morza i jego temperatury, jeśli tam jest morze.

„Taki może być rezultat w warunkach sprzyjających. Co się tyczy okoliczności przeciwnych, a mianowicie śniegu, albo mgły, to jedno i drugie zarówno kwestyonuje zupełnie użyteczność tego kroku ryzykownego."

Pozostawała tedy jeszcze wizyta u samego inżyniera-aeronauty.

Znakomitego inżyniera znalazł korespondent niemiecki dosyć pognębionego tem pierwszem niepowodzeniem wyprawy, jakkolwiek na pewności siebie i zaufaniu do przedsięwzięcia nic on chyba nie stracił. Zapytany czy próba ponowioną będzie w roku przyszłym, odpowiedział z całą pewnością, że to dla niego i dla uczestników pierwszej wyprawy, jest niewątpliwem a przytem że żaden z nich na chwilę nawet nie stracił wiary w rezultat wyprawy. Czas wzlotu uznawał także za wybrany zupełnie trafnie, i nadmienił, że o tej samej porze zamierzają wyruszyć w roku przyszłym. Wogóle mówił w imieniu swojem i swoich towarzyszów wyprawy, ale nie zataił przed dziennikarzem niemieckim i tego także, że całe przedsięwzięcie zawisło na przyszłość w znacznej części od zebrania funduszu potrzebnego na koszta wyprawy.

Jeśli Andrée rachuje się z niedostatecznością rezultatów swojej przyszłej podróży, o których wspomina Nansen, to mu zapewnie chodzi o to, żeby bądź-co bądź widział to, czego nie widział nikt przed nim, i żeby dotarł tam, gdzie się nikomu dotąd dotrzeć nie udało.

K.

Nasi najmłodsi.

(Ciąg dalszy).

V.

Dziesięć lat upłynęło zaledwie od ukazania się pierwszego tomu poezyj Jana Kasprowicza. Po tym pierwszym zbiorze nastąpiły dalsze: „Z chłopskiego zagona," „Anima Lachrymans," „Miłość," przekłady z Szekspira, Byrona, Tennysona i t. d. Jest to, gdy uwzględnimy krótki stosunkowo przeciąg czasu, dorobek obfity, jakim nie każdy z piszących pochlubić się może. Kasprowicz, jak wyraża się o nim jeden z krytyków warszawskich, „sieje słowo, jak chłop sieje ziarno ze skupieniem, a szerokim rozmachem garści," pracuje sumiennie, bez przerw, nie czekając chwil dla pracy twórczej szczególnie przyjaznych, niezwykłych, wyjątkowych nastrojów i stanów ducha. Rozumie się, że przy takim systemie muszą wśród utworów niepospolitej wartości znaleźć się rzeczy słabe, ustępy nad miarę rozwlekłe, czasami poprostu nudne.

Nie powinno to jednak usposabiać nas źle względem twórczości Kasprowicza wogóle, twórczości bardzo odrębnej, o wybitnych cechach charakterystycznych.

Kto po raz pierwszy bierze do ręki poezye Kasprowicza, ten w pierwszej chwili nie dozna z pewnością ani zachwytu, ani oczarowania.

Jest w nich coś szorstkiego, surowego; budowa zdań dziwaczna, wiersz jakiś niedźwięczny, nie kołyszą, nie upajają czytelnika, przyzwyczajonego do melodyjnych brzmień, spotykanych u Tetmajera, Langego, lub innych żywych, czy zmarłych przedstawicieli poezyj naszej. Przed kilku laty jeszcze mówiąc o pierwszych utworach Kasprowicza, wyraził się T. T. Jeż „jest on przeciwieństwem Bogdana Zaleskiego co do formy." Istotnie *słowiczych* tonów nie znajdujemy w jego mowie, z którą oswoić się potrzeba, by ocenić jej wdzięk surowy i prosty. Słuszną wydaje się uwaga wspomnianego wyżej krytyka jednego z pism warszawskich, że tym, w pierwszej chwili rażącym, obcym poniekąd dla nas, dziwacznym żywiołem mowy Kasprowicza są pierwiastki ludowej gwary wielkopolskiej, wprowadzone przezeń po raz pierwszy do języka literackiego, który u nas kształtował się od wieków na formach małopolskich, a zasilał niekiedy pierwiastkami mazurskimi. Nietylko pojedyncze wyrażenia ale i budowa okresów całych dowodzi, że czerpał on z nieznanego dotąd pisarzom naszym źródła form językowych, które jakkolwiek w piśmiennictwie nie używane, są niemniej prawowitemi odroślami wspólnego pnia, i z duchem mowy naszej w zupełnej zostają zgodzie.

Kto pierwszem od poezyj Kasprowicza otrzymanem wrażeniem nie zniechęcony, zrozumiawszy przyczyny, które się na nie składają, zechce zapuścić się głębiej w dziedzinę twórczości jego, temu ukaże ona wnet swe piękności proste i surowe, swą żywiołową chwilami gwałtowność, swą jędrność i siłę, swój pierwotny, dziki wdzięk jakiś.

Syn ludu z miłością zwraca się Kasprowicz ku wsi, kolebce swojej:

„Szare chaty! Nędzne chłopskie chaty,
Tak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy proste, jak wy bez rozkoszy!
Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie.
Hej, czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy?!"

Ale miłość ta nie zaślepia go, i nie czyni stronnym. Piotr Chmielowski mniejwięcej w sposób następujący charakteryzuje postawę literacko-społeczną Kasprowicza: „Dawniejsi poeci nasi (Zaleski, Lenartowicz) w celu propagandy idei demokratycznej, brali z życia ludu tylko rysy sympatyczne, idealizowali go każdy na swój sposób. Ci, co w naszych czasach niedolę warstw tych wzięli za przedmiot swych pieśni (Asnyk, Konopnicka), poszli w ślady poprzedników. Kasprowicz dopiero odrzucił wszelką sentymentalną, czy humorystyczną idealizacyę. Kocha on lud, „świętym" go nawet nazywa, ale znając wybornie zarówno zewnętrzną stronę jego bytu, jak i jego duszę, nie myśli bynajmniej wyodrębniać go pod względem moralnym od reszty ludności, lecz owszem uwydatnia, że w nim takie same są uczucia i takie same obłędy, takie same pożądania i namiętności, takie same rysy usposobienia i charakteru, jak w innych klasach narodu, tylko się w odmiennych przejawiają formach z powodu odmiennego stopnia kultury. Cienie są nawet gęściej narzucone w jego utworach, niżeli jasne smugi. I jest to bez wątpienia dowodem wzmożenia się idei demokratycznej u nas, gdy jeden z przedstawicieli kierunku ludowego nie waha się uwydatnić stron ciemnych w charakterze tego ludu. I to jeszcze zauważyć warto, że o istnienie tych ciemnych stron poeta nie obwinia innych warstw społeczeństwa.

Nie pochlebia on tym warstwom, wytyka im zdrożności, ale za każdą zbrodnię chłopa nie stawia pod pręgierzem jakiegoś surdutowca. Jest więc Kasprowicz śpiewakiem niedoli ludu, wyczekującym świtu nowej doby, ale nie wnoszącym fermentu nienawiści względem warstw innych."

Każdy, komu znane są utwory Kasprowicza, zgodzi się z prof. Chmielowskim, że takie a nie inne zajął poeta stanowisko.

Zajmującem jest jednak, do jakiego stopnia przytem wewnętrzna istota jego pozostała ludową. Zwracaliśmy już uwagę na mowę jego, która mimo całego wyrobienia literackiego zachowała charakter dyalektu ludowego, z którego powstała. Jest nadto w poezyi Kasprowicza ton, który trzebaby nazwać ludowym. Niema tam tego polotu śmiałego, jaki prawem atawizmu może, po przodkach rycerskich dostał się w spadku pieśniarzom romantycznym naszym. Jest za to spokojna, wieśniacza zaduma, jest skupienie i siła, jest, powiedziałabym, chłopska wytrzymałość na ból.

Przykro mi, że nie mam obecnie pod ręką pięknego wiersza Kasprowicza, w którym właśnie drga taka męzka pogarda cierpienia, w którym zapewnia poeta, że nie żałuje, że życie jego było pasmem boleści—że nie znał szczęścia upojeń młodości i t. d., on nie żałuje. W jędrnym dźwięku tych słów słychać niby: spróbujcie, wytrzymam i więcej.

Wogóle Kasprowicz, choć odtwarza często nowożytne rozstroje dusz, choć w usta bohaterów swoich kładzie wykrzykniki w rodzaju: „O śmierci, bolejących bytów Zbawicielko!" choć każe im wyciągać dłonie do tej „słodkiej Zwiastunki spokoju i ciszy," nie jednoczy zdaje się osobistości swojej z temi typowemi ofiarami choroby wieku. Zrozpaczeni bohaterowie jego zresztą to nie osobniki anemiczne, o wrodzonej niemocy woli, któremi zaludniła się tak od pewnego czasu literatura, to po większej części dusze w walkach pojęć i namiętności stargane, złamane klęską.

H. C.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nowe książki

NADESŁANE REDAKCYI „TYGODNIKA."

Nakładem firmy T. Paprockiego:
Biblioteka Romansów i Powieści zesz. 32—35.
Hygiena ludowa, przez Antoszkę.
Niobe, powieść, z oryginału norweskiego.
Nakładem księgarni M. Arcta:
Historya naturalna człowieka, dr. Noll.
Nakładem Krzyżanowskiego, Kraków:
Kuchnia hygieniczna.
Nakładem Orgelbranda:
Rok czytania, przez Chrząszczewską i Warnk.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

TREŚĆ: Antoni Miecznik: Owanes Ohana, powieść (ciąg dalszy). — Kongres międzynarodowy berliński w obronie praw i dążeń kobiety. — Curiculum vitae, kartka z pamiętnika (pokończenie). Wacław Wolski: Jesień, wiersz. — Groźby i alarmy. — U inżyniera Andreé. — Nasi najmłodsi (ciąg dalszy). — Nowe książki. — Ogłoszenia. — W DODATKU POWIEŚCIOWYM: Andrzej Theuriet: Kwiat Nicei, przekład Bronisławy Kowalskiej (arkusz 5).

A. WŁODKOWSKI, Czysta 8.

POLECA

NOWOŚCI:

Wełny z METALEM na suknie wizytowe.
Fantazyjne pół jedwabne materyały od 1.50.
Wełny angielskie w kratę.
Wełny na szlafroki.
Wełny na pokrycia futer.
Mongoli, Syberyny i Baranki.
Flanele i Welwety.
Wełny przerabiane na kostiumy.
Wełny jasne na suknie wieczorowe.

Czarne wełny frisé.
Czarne wełny mohaire.
Czarne półjedwabne materyały na suknie wizytowe.
Czarne popeliny na suknie strojne.
Czarne korciki od 1.50 do 6 rubli.
Czarne vigogne i cheviotte.
Czarne fantazyjne wełny w wielkim wyborze.
Czarne crêpe i foulé.
Czarne okryciowe wełny.

Wybór niebywały.

Na żądanie próby wysyłają się odwrotną pocztą franco.

50212

Marya Gajewska

WŁAŚCICIELKA MAGAZYNU MÓD

przygotowała duży wybór kapeluszy na sezon Jesienny i Zimowy, jako też przyjmuje obstalunki podług najświeższych modeli.

Podwal Nr 16, w Warszawie.

49654

W Szkole Malarsko - Przemysłowej

Alicyi Nowińskiej

36. Senatorska 36. 49526

Rozpoczną się lekcye dnia 1 Października. Zapisy przyjmują się codziennie od 11 do 2.

Wszystkie Książki i Nuty przez kogobądź wydane, posiada lub dostarcza prędko i **prenumeraty** przyjmuje Księgarnia i Skład Nut **Maurycego Orgelbranda** w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika. **Katalogi i Prospekty bezpłatnie.** Także **Wypożyczalnia** (czytelnia) **Książek** polskich i francuzkich.

MAGAZYN FUTER I KONFEKCYI DAMSKIEJ

JAKUBA PAWEŁEK

ulica Czysta Nr 6.

Ma zaszczyt polecić wielki wybór wszelkiego rodzaju futer krajowych i zagranicznych w najlepszych gatunkach. Przyjmuje obstalunki na wszelkie okrycia damskie, jako to: rotundy, palta, żakiety, peleryny etc., podług najświeższych francuzkich i angielskich mód, oraz futra męzkie, palta i marynarki futrzane, płaszcze i t. p., które wykonywa jaknajstaranniej po cenach najprzystępniejszych. 50025

M. POZZI

494215

poleca najtaniej:

ZEGARKI i BIŻUTERYĘ,



Sprzedaż i reperacya oraz przyjmuje do złocenia i srebrzenia.
OBRĄCZKI ŚLUBNE.
Wysyłam za zaliczeniem.

Nowy-Świat 31.

FABRYKA KAPELUSZY DAMSKICH

Magazyn Główny

5. ŻABIA 5.

Największy wybór kapeluszy ubranych damskich oraz dziecinnych od skromnych do najwykwintniejszych, czapeczek futrzanych, mufek i kołnierzy. Specyalność fabryki kapelusze felpowe.

Roman Dąbrowski.

50113

Biuro Nauczycielskie

JADWIGI JAHOŁKOWSKIEJ

Nauczycielki 2-go Gimnazyum, Warszawa, ul. WSPÓLNA Nr 40, tamże Zakład froeblowski **L. Jahołkowskiej.** 48446

SPECYALNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

Emilii EHRENKREUTZ

Mistrzyni Cechu.

W WARSZAWIE, ZGODA 3, CHMIELNA 24.

Przygotowywa gruntownie i wyzwala na mistrzynie i podmistrzynie. Pensyonat przy szkole oraz pracownia sukien i okryć. Fasony są do nabycia. 50311

Magazyn Bielizny, Ś-to Krzyzka 20,

JULII JACKOWSKIEJ

48944

poleca w wielkim wyborze po cenach umiarkowanych **bieliznę: męzką, damską, dziecinną, bluzki, barchany, prześcieradła i ręczniki kąpielowe.** Przyjmuje koszule do wstawiania: gorsów, kołnierzy, mankietów.

Najwyżej Zatwierdzone Towarzystwo Akcyjne

pod firmą:

„St.-Petersburskie Laboratoryum Chemiczne"

St.-Petersburg, Izmaiłowski Prospekt Nr 27, dom własny,

założone w 1860 roku.

nagrodzone złotym medalem na wystawie w Paryżu w 1889 roku.

Puder Tłusty

BIAŁY, RÓŻOWY I ŻÓŁTY, 50 kop. pudełko

Puder „Veloutine" | Puder de Ninon
Puder „Dongola" | Blanche i Rouge

Wyroby **„St.-Petersburskiego Laboratoryum Chemicznego"** nabywać można we wszystkich znaczniejszych Perfumeryach i składach Aptecznych. Kupujący raczą zwracać uwagę na obok zamieszczoną markę fabryczną i żądać wyraźnej firmy



„St.-Petersburskie Laboratoryum Chemiczne,"

posiadającej **tylko Skład Hurtowy**

u p. PAWŁA WOLLENBERGA

w Warszawie, ulica Żabia 3, od Przechodniej 4,

a nie zaś — **sklep detaliczny.**

50411

Handlującym wysyła się cenniki bezpłatnie.

SPECYALNY MAGAZYN

OKRYĆ I FUTER DAMSKICH

A. Łojewskiej

10. BRACKA 10. 497210

Poleca **NOWE** fasony okryć jesiennych i zimowych, podług modeli paryskich od skromnych do najstrojniejszych. Żakiety od rs 11, Burki od rs. 15, Peleryny od rs. 6. Rotundy, Paletoty na futrach i wacie. Oprócz gotowych rzeczy wielki wybór materyałów z których przyjmuje obstalunki.

NOWOŚĆ! Ważne dla Pań!

Wykwalifikowany majster cechowy zawsze powodujący się sposobami paryskiemi, na podstawach długoletniej praktyki i doświadczeń, wyuczam pięknego kroju zupełnie prostym poglądowym sposobem, na własnego wynalazku figurach i tablicach, z zastosowaniem kroju systemów Francuzkiego, Angielskiego i Wiedeńskiego. Przystępny wykład rozmaitych odmian figur, pasowania staników, amazonek, okryć i t. p. objaśnień **najdokładniej wyuczam w przeciągu miesiąca.** System mój tak ułatwiony, nieznany dotąd ani w kraju, ani za granicą.

Warszawa, Nowy-Świat Nr 9.

48736

E. STAWENO.

Specyalna Szkoła Haftów

kościelnych, białych i kolorowych. Mebli, stylowych ekranów na atłasie i pluszu. Wybór zagranicznych wzorów.

Warszawa, Zgoda 3, mieszkania 1. 50311

Дозволено Цензурою Варшава 17 Сентября 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.